



Stwórca cieni.
Mistrz
przemian

**Romuald
Pawlak**

RW2010

ROMUALD PAWLAK
STWÓRCA CIENI. MISTRZ PRZEMIAN

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Romuald Pawlak 2012

Okładka Copyright © RW2010 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: www.marketing@rw2010

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.p

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Baron von Ott mrużył oczy, z dezaprobatą spoglądając na swego gościa.

Należy uściślić, że intruz, który przed nim stał, przytrzymywany przez dwóch ludzkich służących o twarzach nieruchomych i niewyrażających niczego, oraz z obu stron pilnowany przez karły, należał do kategorii osób niepożądanych, wyłuskanych z pobliża zamku jak insekt próbujący się wcisnąć za koszulę albo szpieg badający, czy zamek da się wziąć siłą.

– Cóż pana sprowadziło pod moją posiadłość? – spytał wreszcie baron z niezadowolaniem. – Bo chyba nie przespiegi?

Von Ott spodziewał się zachnięcia, udawanego czy nie. Co wydawało mu się mniej prawdopodobne, spodziewał się wyjaśnień, choćby mętnych.

Nie spodziewał się natomiast wyniosłego milczenia, a to właśnie dostał. Przybysz szacował go zimnym spojrzeniem, potem przeniósł je na karły, choć zapewne nie wiedział, że to prehistoczeńcy, ludzie-wilki. Potem zwrócił wzrok ku ludzkiej służbie, jakby i w nich dopatrując się niewidocznych przekształceń.

Baron von Ott wzbudzał niepokój nie tylko swoim wyglądem. Cóż, świat widział już niejednego karła czy małego człowieka, choć mało który z nich mógł się pochwalić szlachetną krwią, a jeszcze mniej spośród nich – jakąś rozsądną pozycją społeczną. Von Ott miał jedno i drugie. Nosił się z pełną elegancji nonszalancją, drażniąc sąsiadów w okolicznych zamkach, ludzi we wsiach i w miasteczku Plauen odległym o osiem mil od zamku. Plotki na jego temat nigdy nie milkły. Ich powodem nie były jednak postura i nieco ostentacyjne zachowanie barona, lecz to, co działo się w korzeniach jego zamku, w podziemnych tunelach – i co czasem wydostawało się na zewnątrz, jak ludzie-wilki czy equnculusy, ludzie-konie.

Patrząc na milczącego gościa, baron z niepokojem zastanawiał się, czy nie ściągnęły go tu właśnie owe plotki. Co wiedział? Tylko o tych dziwnych stworzeniach, czy o tym, że stoi za tym sam von Ott? Odkąd zmarli dawni sojusznicy karła, von Noggat i Novennus, nikt nie powinien znać prawdy o tym, co tu się dzieje.

Milczenie gościa stało się kłopotliwe. On też to pojął.

– Zabłądziłem – mruknął szorstko. – I wtedy pana ludzie... – tu się zawahał, na jeden krótki oddech, ale baron to zauważył. – Pańska służba pomogła mi się odnaleźć – poprawił się zaraz. – Nazywam się von Raster, Konrad von Raster z Viele niedaleko Akwizgranu, może pan słyszał?

Baron zaprzeczył ruchem głowy, podrapał się w policzek draśnięty niedawno pazurem jednego z bardziej nieujarzmionych ludzi-wilków. Wyczuł pod palcem płytkie zbliznowacenie, sznurek zgrubiałej skóry.

– To jest myśl – szepnął do siebie. Tak, ten wysoki, tyczkowaty człowiek będzie się nadawać.

– No cóż, von Raster, skoro już i tak trafił pan do mojego zamku – postarał się nadać swemu głosowi kwaśny ton – zapraszam w gościnę. Niech się pan czuje swobodnie. Luksusów, jak pan widzi, nie jestem zdolny zapewnić, to nie cesarski dwór – wskazał gestem dosyć ascetyczne wnętrze komnaty – niemniej obiecuję kolację, nocleg, a może kilka dni miło spędzonych w moim towarzystwie. I nie chcę słyszeć odmowy. – Bystro popatrzył na przybysza.

Von Raster milczał, lekko tylko kiwając głową. Stało się jasne, że słowa von Otta go nie dziwią, nie spodziewał się niczego innego, gdy noc za oknem, wokół jary dzikie i zdradliwe, nie do przebycia w ciemnościach. Karzeł-arystokrata też go nie bulwersował, zwłaszcza otoczony innymi karłami.

– Proszę się odświeżyć – zaproponował wreszcie von Ott, przerywając nieprzyjemną ciszę, która zdawała się dzwonić w pustych murach. – Kolacja za godzinę.

* * *

Nim doszło do wieczornego posiłku, baron wysłuchał relacji swoich wilków. Zdały mu ją w komnacie, do której dostępu bronił stróż tak niezwykły, że wiedzieli o nim tylko dwaj ludzie w zamku – a tylko jeden oprócz samego barona. Wilki nie miały o

nim pojęcia, ale skoro już nie były zwykłymi ludźmi, przeszły metamorfozę, teraz swoimi wilczymi zmysłami dostrzegały zagrożenie, choć nieuchwytnie dla nich, pozostające poza sferą postrzegania. Kręciły się nerwowo, popiskiwały, wodziły wzrokiem po ścianach i podłodze niewielkiej komnaty, w której centralne miejsce zajmowało wygodne krzesło. Baron celowo trzymał swoje karły w wilczej postaci, sycił się ich widokiem. Tylko ten karzeł, którego akurat słuchał, przybierał ludzką postać.

Powiedziały mu, że wytropiły przybysza ze cztery mile od zamku, ale nim zdołały go dopaść, zrobił jeszcze półtorej mili skałami, po których one nie umiały się wspinać. Zmierzał prosto w stronę zamku, choć ominął wygodny trakt, wspinał się na urwisko. Za kłamstwo można było przyjąć, że się zagubił. Szedł prosto do zamku barona. Po co? – tego nie wiedziały. Baron również, ale słuchając swoich poddanych był coraz bardziej pewien, że oto trafił mu się gość nie lada, wyzwanie godne von Otta.

Tym bardziej niecierpliwił się, oczekując kolacji.

Przybysz pojawił się na niej, wyglądając nieco podobnie jak w czasie pierwszego spotkania. Nadal nosił wysokie buty i strój myśliwski, dosyć ściśle opinający ciało, z dziwnymi wypchanymi kieszeniami, które wyglądały tak, jakby był przygotowany na każdą okoliczność, miał tam zapasy jedzenia i składaną szpadę.

Baron poczekał, aż służba zastawi stół i wycofa się z sali. Wolał jeść bez ich towarzystwa. A gościa się nie obawiał, nie u siebie w zamku.

– Zatem wracając do naszej rozmowy – zaczął, gdy pieczone spoczęło na talerzach. – Zwiedzał pan okolicę, jak rozumiem?

Zawiesił głos, dając von Rasterowi okazję do dłuższej odpowiedzi. Ten jednak nie skorzystał, skinął głową i nadal sprawnie ścinał kawałki mięsa, kierując je do ust i przeżuwał w nieco ponurym milczeniu.

– Ale chyba nie mój zamek był celem? – ciągnął baron. – Nie jest ciekawy, jak sam pan widzi. Ani nie ma wielkiej historii, ani wyglądu, bo przodkowie dbali raczej o grubość murów. Nie może się równać z wieloma tutejszymi atrakcjami, choćby niedaleko Plauen baron Hildergotte ma ciekawszą siedzibę. Zna pan?

Von Raster znów skinął głową.

– Znam – potwierdził wreszcie. – Pałac ciekawszy od gospodarza.

Baron uśmiechnął się pod nosem. Rozmowa zaczynała mu przypominać dyskusję z obrazem ze ściany w jednej z komnat jego zamku, galerii przodków. Wiszący tam portret Hugo von Otta nieczęsto odpowiadał rozmówcy, choć za życia Hugo słynął z ciętych wypowiedzi, zaczepek i czynów wpędzających ludzi w przepaście nie tylko słowne. Sam von Ott także kiedyś tego doświadczył: przeklinał swego przodka, stojąc przy jego portrecie, gdy nagle rozległ się trzask, obraz spadł, a rama pękła! Jakże wymownie! Nazajutrz von Ott złamał nogę. Odtąd bał się przeklinać Hugona nawet w myślach.

Podobnie, obawiał się, będzie z tym tutaj, człowiekiem. Niemniej, właśnie znalazł jakiś punkt zaczepienia.

– Zatem interesują pana tutejsi gospodarze? – podjął. – To można było iść tu drogą prosto, nie na skróty, przez krawędź Wiggen, gdzie prawie pan spadł i zginął...

– Nie szedłem do pana – przerwał mu von Raster, a widelec gniewnie szczęknął o talerz. – Już mówiłem, interesują mnie widoki. Pan tego nie zrozumie, pan siedzi w murach, gdy ja patrzę na świat z perspektywy nieba...

„Oho, trafiłem w jego słaby punkt – pomyślał zadowolony baron. – Ale nie wierzę, że nie szedł do zamku. Co ma wspólnego jedno z drugim?”

– Jeśli szuka pan widoków, mogę je zapewnić. Wrażenia estetyczne również. – Spojrzał bystro na gościa. – Słyszał pan może o mojej kolekcji?

Nikt nie powinien o niej słyszeć, bo ci, co o niej wiedzieli, sami stawali się jej częścią. Poza niewielką grupką zaufanych, z których większość dawno zmarła. Plotki

krażyły, baron był w nich wymieniany, ale to wciąż były tylko plotki, nic konkretnego. Mimo to postanowił wybadać przybysza.

Ten zaprzeczył niedbałym ruchem głowy, znów skupiając uwagę na krojeniu mięsa.

– Kolekcje mnie nie interesują. Ruch, żywioł, groza pejzażu, to jest warte uwagi – mruknął wreszcie.

I tak przez niemal godzinę. Baron niewiele wyciągnął z gościa, w zasadzie tylko upewnił się w swoich wątpliwościach, że nie przypadkiem von Raster tu trafił.

Taka sytuacja nawet by bawiła barona, gdyby nie jedna, za to bardzo niepokojąca myśl: dlaczego przybysz tak ostentacyjnie odmawia odpowiedzi, dlaczego swoim zachowaniem wręcz manifestuje, że coś ukrywa? Prowokował barona, a zarazem zdawał się zupełnie nie bać... dlaczego?

* * *

W swojej komnacie dłuższą chwilę krażył po pysznym perskim dywanie, pochłaniającym jego nogi niczym głodny drapieżnik upolowaną ofiarę, przyglądał się z namysłem drewnianemu stolikowi z leżącymi na blacie kilkoma cennymi księgami w drewnianych okładkach, wreszcie mruknął:

– Trzeba go użyć. – I wyszedł z komnaty.

Swoją kolekcję trzymał w podziemiach zamku, podwójnie niedostępną dla obcych. Trzeba było przekroczyć bramy strzeżone przez wilki i inne stworzenia, które z podziemi nie wychodziły, i choć stanowiły część kolekcji, zostały stworzone, by ją chronić.

Baron śmiało kroczył schodami w dół, zagłębiając się w czeluść. Zamek na zewnątrz nie był zbyt imponujący, za to podziemia miał znacznie bardziej rozległe i gęściej poplątane niż komnaty na górze. Z pochodnią w ręku von Ott dążył do serca tego labiryntu, za nić mając wyryty w głowie plan tych podziemnych korzeni. W ręku trzymał jabłko, które zabrał, by na dole uczynić z niego właściwy użytek. W pewnej

chwili omal nie wyślizgnęło mu się z ręki. Przerzucił je, obejrzał. Wydawało mu się... wydawało mu się takie słodkie. Kuszące. A także... zatrute. Nie pospolitą trucizną. Nadzieją, która nigdy nie zostanie spełniona, pragnieniem, które nigdy nie zazna ukojenia.

Wreszcie dotarł do tej części podziemi, gdzie trzymał osobliwości, które dla niego pracowały. Otworzył jedno z wąskich drzwi. Za nimi... Za nimi na wyłożonej słomą podłodze leżał drobny, zwinięty w kulkę karzeł, zwany Durichem. Jego ciemne oczy spoczęły pytająco, z nadzieją, na von Ottcie.

– Witaj, Durich. Mam dla ciebie zadanie – powiedział baron.

Patrząc na tego karła, baron czuł... tak, czuł satysfakcję. Durich był niezwykłym przypadkiem cudu na stole, pod skalpelem Cromalina, mistrza podziemi, współnika von Otta w dziele transformacji.

Cud polegał na tym, że Cromalin raz jeden jedyny nie okazał się mistrzem bezbłędnym, z niezwykłą swobodą operującym narzędziami. Raz jeden niesforny skalpel wyślizgnął mu się ze spoczonej ręki. I trafił operowanego w głowę, w odsłonięty mózg! Wbił się głęboko, nacinając tkanę.

Wydawało się, że próba przemiany karła w człowieka-szczura się nie powiedzie. Durich umrze albo zostanie okaleczonym idiotą. Obojętnie, czy będzie to szczur-idiota czy człowiek-idiota, jednych i drugich na świecie nie brakowało i bez ingerencji Cromalina. Lecz von Ott nakazał roztrzęsionemu Cromalinowi kontynuować operację, ciekaw, jakie uszkodzenia przyniesie interwencja skalpela. I tak stwierdził wkrótce, że przeistoczenie człowieka w szczura odbyło się bez przeszkód, a potem ze zdumieniem odkrył, że ów szczur posiada niezwykły dar wywąchiwania prawdy. Wykrywał kłamców nawet kiedy spali. Wyczuwał wypowiedziane kłamstwo, choć trop mógł już zwietrzeć, mieć parę godzin czy dzień.

– Idź i obwąchaj dokładnie von Rastera. Zajmuje zwykłą komnatę dla gości – polecił Durichowi von Ott. – Wywąchaj, mój drogi, co trzeba, zrób to dla mnie.

Tu pokazał trzymane w dłoni jabłko. Bowiem Durich uwielbiał jabłka, dla nich zrobiłby wszystko.

Teraz wstał i wziął owoc. Zjadł go z ogryzkiem w jedną chwilę, a potem rozłożył ręce i zaczął się zmieniać. Skurczył się w sobie i zaczął wciskać w kanał, który w jednym miejscu uchodził tuż nad posadzką. Kiedyś był drobnym człowiekiem, kanalarzem w Plauen. Jako człowiek-szczur także chodził po kanałach, choć nie tylko. Dotrze do komnaty von Rastera i zrobi swoje. A potem przyjdzie do von Otta i zda mu relację.

Baron z wiarą spoglądał na niknący w czeluści goły ogon przeistoczenia.

Później ruszył, by poszukać Cromalina.

Mistrz przemian, mistrz-kreator, jak czasem nazywał go von Ott, nie był zachwycony sytuacją. Obawiał się niezapowiedzianych wizyt, odkąd cesarscy urzędnicy zainteresowali się jękami dochodzącymi z jednego z zabudowań folwarku należącego do Cromalina, który wtedy jeszcze nosił inne nazwisko i nie miał rozwidlonego języka.

– Znalazłem kogoś, kto się nada na jeden z naszych projektów, człowieka-sieć – stwierdził z energią baron. – Jest odpowiednio silny i żylasty. Pokonał krawędź Wiggen, wyobrażasz sobie? Jest w nim siła... Nie trzeba będzie porywać nikogo z Plauen...

Cromalin z zadowoleniem pokiwał głową. Ostatnimi czasy mieli mało dobrego materiału, baron zaczął wręcz wypuszczać przybyszów, bo po co im kolejni ludzie-wilki czy equnculusy, ludzie-konie?

– Wytrzyma?

– To w twoich rękach – zauważył baron, z nadzieją spoglądając na swego mistrza. – Ocenisz go, w odpowiedniej chwili. Ale sądzę, że tak.

* * *

Wreszcie baron począł się wspinać po wysokich schodach podziemia. W pewnej chwili przystanął, bowiem zaczęła go boleć stopa. Po raz kolejny pomyślał, że skoro Cromalin pod jego wodzą umie przeistoczyć człowieka w dowolne inne stworzenie czy kształt, to może zająłby się jego nogą? Odrzucił jednak tę myśl i zaczął się wspinać ponownie.

Później zasiadł przed jedną z ksiąg. Był to wydany *in quarto* spis z natury bestiariusz pewnego szlachcica, ze dwa wieki temu podróżującego po świecie Orientu. Von Ott szukał tam natchnienia, lecz nie tylko. Na marginesach jakaś ręka, o wiele bardziej współczesna, nakreśliła sporo ciekawych uwag, przypisków, pomysłów... Niewątpliwie był to ktoś, kto myślał podobnie jak von Ott, choć nie znając jego nazwiska, baron nie mógł wiedzieć, czy wcielił swe plany w życie, czy też pozostał jedynie wizjonerem-marzycielem.

Durich wsunął się przez lekko uchylone drzwi komnaty, nieufnie zaczął wąchać i wreszcie z trudem przybliżył się do barona. Ten wiedział, że szczur wyczuwa jego kłamstwa, i tylko siłą woli powstrzymuje się od ugryzienia.

– Kłamie – wysyczał teraz. – Tamten kłamie. Gdyby nie zakaz, zły zakaz...

Zakaz gryzienia, jaki wydał mu baron, wciąż obowiązywał. Durich, wciąż w postaci człowieka, poruszał szczęką, jakby coś gryzł. Baron wiedział, że teraz chodzi nie o tego paskudnego przybysza w gościnnej izbie, lecz o patere, na której stały owoce. To tam skierowany był wzrok Duricha. Von Ott zdjął jedno z jabłek i podał karłowi. Ten rzucił się na nie łapczywie.

– Wracaj do swojej izby – nakazał baron. Odsunął od siebie księgę. – I żadnych... – zawahał się – żadnych samodzielnych wędrówek, jasne? Idź prosto do Cromalina.

Człowiek-szczur niechętnie skinął głową, wciąż spoglądając na patere. Von Ott, pokręcił głową i podał mu jeszcze jedno jabłko.

– Idź, obzartuchu, zanim zmienię cię w jabłoń – zagroził.

Durich bez słowa ruszył w stronę drzwi.

Baron był pewien, że pójdzie do siebie i zaśnie. Cromalin, poza tym jednym przypadkiem, był prawdziwym mistrzem w przemianach, a baron umiał dopełnić dzieła, niewołąc wszystkich swoich przeistoczeńców. Później wbił wzrok w ścianę.

– Trzeba działać, nie sądzisz?

Być może było to pytanie retoryczne, ale cień na ścianie jakby drgnął. Jednak cienie mają to do siebie, że nie odpowiadają, chyba że ktoś jest bardzo chory, i to nie na nogi, tylko na głowę.

Von Otta irytowało, że Durich potwierdził jego przekonanie o kłamstwach przybysza. Baron nienawidził nie mieć najlepszych kart w ręku. A tym razem, jeśli nawet coś miał, to blotki, podczas kiedy, jak się obawiał, przybysz może trzymać asa, a co najmniej waleta.

Będzie musiał wysłać wilki. Niech zejdą ze stoków, na których dotąd strzegły zamku barona, niech podejść pod chałupy okolicznych wsi, posłuchają, czy ludzie nie gadają o von Ottcie, a ktoś nie szuka zaginionego przybysza. Niech zanurzają się w ciasne i ciemne uliczki Plauen.

Baron czuł, że cichaczem wślizgnęło się do jego zamku niebezpieczeństwo. A właściwie – i ta myśl naprawdę go przerażała – to on sam je tu wpuścił!

– Mam nadzieję, że jednak tylko blefuje. Ale... boję się – rzekł, znów spoglądając na ścianę, na której odbijał się delikatny, rozmyty cień.

I ten cień na ścianie zdawał się trwać niemal nieruchomo, ale w pogotowiu – wprawne oko wykryłoby delikatne drżenie, jakby tylko czekał na to, aby skoczyć.

* * *

Podczas kiedy wilki ruszyły w teren, baron musiał podjąć kilka decyzji, dosyć ryzykownych. Miał już pewność, że gościa trzeba zamienić w przeistoczenia, choćby miała go szukać cała armia cesarza. Człowiek-sieć, płynący z biegiem rzeki,

wyławiający dla barona różne rzeczy z górskich potoków, do których człowiek nie wejdzie, bo zabije go lodowata woda – to był plan. Von Raster wytrzyma. Był twardy.

Ale ta twardość stanowiła zarazem ciężki orzech do zgryzienia, bo kiedy podczas śniadania baron próbował naprowadzić gościa na interesujące ścieżki rozmowy, ten bagatelizował to, umykał, pozostawiając barona bezradnym. Baron wciąż wiedział tyle, że co do celu swej wędrówki gość kłamie, albo też nie mówi całej prawdy. Wyraźnie chciał się dostać do zamku. A w zamku... w zamku interesująca była tylko kolekcja barona oraz obaj jej stwórcy, von Ott i Cromalin.

Wreszcie baron pojął, że pora zagrać jakąś kartą. A w ręku miał właściwie tylko jedną. Być może tę, o którą właśnie chodziło...

– Noc minęła, a pan wciąż wygląda jakoś... nieszczególnie. – Tu spojrzął na gościa, który nadal wyglądał sucho i minę miał surową. – Zechce mi pan towarzyszyć w przechadzce? Muszę obejrzeć pewną swoją kolekcję, a pan... cóż, może dla pana byłaby to atrakcja. Zapewniam, to nie jest zwykła kolekcja broni czy obrazów. – Tu baron rozciągnął usta w wąskim, okrutnym uśmiechu.

– Kolekcja? – Von Raster uniósł brew w zdziwieniu. Była to jego pierwsza tak wyrazista reakcja od chwili, gdy po raz pierwszy stanął przed obliczem von Otta. – Nie słyszałem nic o niej. A co pan kolekcjonuje?

Baron uśmiechnął się z triumfem. Rybka chwyciła haczyk. Zatem człowiek-sieć jest blisko.

– Jeśli panu powiem, nie będzie zaskoczenia. Może wybierzemy się po południu?

Von Raster skinął głową.

– Będę czekać w swojej komnacie na wezwanie.

* * *

Płomień pochodni w rękach mikrej postury barona von Otta drgał niczym rozgrzany ogniem smoczy jęzor, pragnący go pochłonąć. Przeciagi w podziemiach nasiliły się ostatnimi laty, zupełnie jakby ktoś porobił sekretne przejścia wiodące na zewnątrz.

Baron prowadził wyprawę, von Raster podążał za nim. Otaczało ich dwóch normalnych służących oraz dwaj ludzie-wilki, który go pochwycili, żeby przybysz pamiętał, iż nie powinien tu próbować zrobić niczego złego.

Wreszcie dotarli do okutych żelazem, dębowych drzwi. Za nimi otwierały się laboratoria Cromalina oraz zagrody kolekcji von Otta. Inny świat. Przemienieńcy.

– Cokolwiek pan zobaczy, chciałbym, aby zatrzymał to pan dla siebie – zapowiedział von Ott. – Albo w sobie – dodał z uśmiechem. – Nikt nie powinien być uprzedzony, co tu zobaczy... czy to jasne?

Von Raster minę miał niezwykle skupioną, jakby badał nieznaną świat. Jego czoło przecięła wąska zmarszczka zamyślenia, nadając mu nieco odpychający wyraz, nutę okrucieństwa.

Baron oprowadził go po swojej kolekcji, pokazując co cenniejsze eksponaty: arboraka, który był niezwykłym połączeniem człowieka i drzewa, człowieka-grzyba, który wyglądał jak wielki nakrapiany muchomor, z głową rozplaszczoną jak kapelusz, wreszcie zaprowadził go do najważniejszej części kolekcji, pokazując swój zbiór liter alfabetu. Zmienieni ludzie spali, czekając na chwilę, gdy baron postanowi ułożyć z nich tekst.

– Jestem już prawie gotów, by napisać sonet – pochwalił się.

Na von Rastrze te widoki zdawały się nie wywierać jakiegoś szczególnego wrażenia.

– To nie tylko figury – wyjaśnił baron. – Niektórzy z nich pracują albo wkrótce będą pracować. Na przykład człowiek-sieć mógłby dla mnie łowić ryby w górskich potokach czy zimnych jeziorach... tylko muszę najpierw go mieć.

– A skąd pan bierze ludzi? – zainteresował się von Raster.

Karzeł wyprostował się na całą swoją wysokość. Nadal jednak sięgał gościowi do piersi. Mimo to nie stracił pewności siebie.

– Przychodzą sami. – Zaśmiał się. – A kto nie przychodzi, tego... czasem sami wzywamy, von Raster. W końcu jestem tu baronem von Ott, panem na zamku. – Przesłał się uśmiechać. – Nawet w Plauen muszą się ze mną liczyć. Może i jestem karłem, ale uszlachconym i majątnym.

– Ciekawe – mruknął gość. – Sami przychodzą, a potem nikt o nich nie pyta?

Baron wzruszył ramionami. Pochodnia zamigotała, płomień liznął ścianę.

– Za kogo mnie pan ma? – spytał szorstko. Potem, nie całkiem zgodnie z prawdą, dodał:

– Oni przecież dalej żyją, tylko... w nieco zmienionej postaci.

– W bardzo zmienionej – poprawił go von Raster.

Jednak nie dążył dalej tematu. Tymczasem baron prowadził go korytarzem w stronę izby, gdzie już czekał na nich stwórca kolekcji von Otta.

– Oto twórca i kustosz mojej kolekcji – baron wskazał Cromalina, który siedział na drewnianym krześle z brzoźowego drewna. Wyglądał staro, łysy, pomarszczony, z ustami ściągniętymi w surowym grymasie. Gdyby nie oczy emanujące dziwnym blaskiem, można by pomyśleć, że to mumia, tkwiąca tu od stuleci, nieszczęśnik zapomniany przez krewnych, których ciała dawno rozpadły się w proch.

Nie odezwał się, von Raster nie mógł więc dostrzec języka rozwidlonego jak u węża. Widać jednak było, że na widok Cromalina zeszywniał. Coś było nie tak...

– Piękne – zaczął z wysiłkiem gość. – O ile to słowo pasuje...

Von Ott niedostrzegalnymi, umówionymi gestami dał znak Cromalinowi, by zniknął, a wilkom, by oddzieliły von Rastera od reszty grupy. Stało się to w ułamku sekundy. Baron niby to życzliwym gestem złapał gościa za ramię i pociągnął w głąb korytarza, a tymczasem Cromalin skłonił się i zniknął w ciemności.

– Wróćmy do kolekcji – zaproponował von Ott, zastanawiając się, o co mogło chodzić. – Zapomniałem panu pokazać...

Von Raster wodził wokół rozbieganym spojrzeniem. Pot wystąpił na jego czoło.

– Zimno tu – obcesowo przerwał baronowi. – Mam dosyć, wracajmy, innym razem obejrzę resztę pana kolekcję i lepiej poznam jej... jej twórcę.

* * *

Baron czekał. W blasku świec w kandelabrze przeglądał księgę z uwagami tajemniczego poprzedniego czytelnika. Niekiedy kiwał z uznaniem głową, innym razem prychał z pogardą, jakby chciał rzec: „Byłem lepszy”. Czekał na wyniki śledztwa, na wieści od Duricha, którego znów wypuścił z podziemi. Właściwie nie był pewien, po co. Może chciał się upewnić, że von Raster kłamie? A może chciał sprawić przyjemność biednemu Durichowi, który tak lubił jabłka? Nie, raczej liczył, że może człowiek-szczur nakryje von Rastera na prowadzeniu jakichś notatek, czy uchwyci jakiś inny trop. Cokolwiek. Jeśli będziesz kogoś dostatecznie długo obserwować, zawsze znajdziesz jakiś punkt zaczepienia, na to w każdym razie liczył baron.

Zostawił drzwi uchylone, jak zawsze, gdy czekał na wieści od swych przemienionych sług.

Nagle gdzieś w korytarzu rozległy się wrzaski. Bolesny kwik przeszył mrok zamkowych korytarzy jak jakaś widmowa, nadciągająca nie wiadomo skąd Apokalipsa. Baron odsunął księgę i skoczył ku drzwiom, po drodze łapiąc szpadę. Tak uzbrojony wyskoczył za drzwi.

Za nim, może zauważyłoby to wprawne oko, zdawał się podążać cień... dziwny, drżący cień... ale może była to tylko iluzja, spowodowana strachem? Bo któż pozostałby spokojny w obliczu kolejnych wrzasków i cichnącego ryku?

Na korytarzu, na mozaikowej posadzce pod zbroją średniowiecznego rycerza z podniesioną przyłbicą, zdychał Durich, wciąż wydając wrzaski, choć teraz znacznie

cichsze. Wyglądał przerażająco, wciąż nie dopełnił przemiany i górna część ciała była już ludzka, podczas kiedy dolna wciąż miała kształt i wielkość spasionego szczura i ogon, ohydny goły ogon gryzonia. Przyglądało mu się kilku służących, żaden jednak nie odważył się do niego zbliżyć.

– Zabił mnie... zabił – wyskrzeczwał na widok barona. – On mnie... – Jego głowa opadła. – Kłamał! – dodał jeszcze oskarżycielsko.

Tymczasem rozległy się kroki i nadciągnął von Raster. Minę miał gniewną. Na widok zgromadzenia przystanął, widząc tu von Otta stężał.

– To coś... – wyciągnął palec w stronę zdychającego Duricha – to coś mnie zaatakowało w mojej własnej komnacie, baronie! Próbowало mnie zabić!

Durich westchnął po raz ostatni i umarł. Albo zdechł, bo jego szczurzy ogon podrygiwał jeszcze lekko przez krótką chwilę, nim i on zwiotczał.

– Co to za stworzenie? Uciekło z podziemia? Nie pokazałeś mi go, von Ott? – z powstrzymaną irytacją spytał von Raster.

Baron patrzył na niego z niepokojem. Dostrzegł cień stworzony przez blask pochodni na ścianach i trochę się uspokoił. Lecz – tylko trochę.

– Tak sędzę – przyznał. – Ale nigdy go nie widziałem – skłamał.

– Może pora przewietrzyć podziemia – mruknął ironicznie przybysz. – Wracam spać, mam nadzieję, że żadna poczwara nie zburzy mi więcej snu.

Odwrócił się i odszedł.

Baron teraz dopiero zauważył, że wciąż ubrany jest w ten sam strój, jakby gotów do ucieczki.

* * *

We własnej komnacie baron zaczął się zastanawiać. Po raz pierwszy zaczął się naprawdę bać. Bać we własnym zamku... to dziwne i straszne. Von Ott nerwowo krążył po komnacie.

Tej nocy ciężko było zasnąć. Mało kto zmrużył oczy. Wszyscy czekali na to, co wydarzy się rankiem. Bo że coś się wydarzy, było pewne.

* * *

Tej nocy baron podjął decyzję zaskakującą nie tylko dla przybysza, także dla siebie. Nie przeistoczy von Rastera w człowieka-sieć. Górskie potoki muszą poczekać, jezioro Thurle odległe o siedem mil także. Ryby, które von Ott tak lubił – najlepsze były z krystalicznie czystych głębin górskich jezior – też będzie łowił kto inny na razie.

Popatrzył w ścianę i mruknął:

– Tak, stanowczo jeden to za mało...

Czy to tylko wiatr pociągnął płomień świecy, czy naprawdę cień na ścianie poruszył się bardziej niż zwykle?

Baron chyba tego nie zauważył. Już planował, co rankiem powie gościowi, jak go skłoni, by został i zechciał obejrzeć nowy okaz.

Najpierw musiał zejść w podziemia, po nocy, w ciemności i omówić sprawę z Cromalinem. Von Raster wie, co się dzieje w zamku, jest niebezpieczny, a jeśli stąd wyjdzie, może stać się jeszcze groźniejszy. Muszą z Cromalinem zażegnać niebezpieczeństwo, za wszelką cenę przywrócić spokój.

* * *

Podczas śniadania, spoglądając na von Rastera w milczeniu pochłaniającego bawarskie kielbaski i zapijającego je rieslingiem, baron najpierw pokręcił głową nad jego gustem, uznając go za zbyt plebejski, wreszcie rzekł:

– Noc przyniosła nam nie tylko ten przykry... incydent. – Zawahał się. – Mój mistrz podziemi stworzył nowe dzieło, którym chciałbym się panu pochwalić. Zechce je pan obejrzeć?

Ku zaskoczeniu barona, von Raster nie odmówił, jak wcześniej.

– Z przyjemnością, po śniadaniu – odparł.

„A więc po śniadaniu dokona się – pomyślał baron. – Niebezpieczeństwo zostanie zażegnane, a po przemianie – nawet wzmocnione...”.

* * *

I znów płomienie pochodni zadrgały w rękach barona, a także kilku ludzi-wilków, dla niepoznaki w ciałach i odzieniu służby. Baron liczył się z gwałtem, czuł, że trafił na twardego przeciwnika, który łatwo nie odda nie tylko życia, ale i swej dotychczasowej powłoki, tego żyłastego ciała, twarzy skupionej na liczeniu schodów i uważaniu na niskie stropy. Nie, baron von Ott był karłem nadzwyczaj chytrym i dlatego przetrwał w miejscu, gdzie niejedyn człowiek wyższy o głowę czy dwie poległ, straciwszy albo rzezoną głowę, albo inne części ciała. Był mądry, a mądrość każe przewidywać. Mądrość każe wyciągać wnioski ze śmierci Duricha. Nie doszedł dotąd, co go zabiło, nieszczęśnik na ciele nie miał żadnych ran poza okadzeniem jakąś dziwną mieszanką prochu strzelniczego i jakiejś nieuchwytnej substancji, której nawet Cromalin nie potrafił rozpoznać.

Baron już wiedział, w kogo przeistoczy swego prześladowcę. Miał jednego anioła-stróża, pora na drugiego, który wyjdzie z zamku, ruszy do wsi, do Plauen, by cichaczem, niewidoczny, zbierać wieści, a czasem i posunąć się do gwałtu... bowiem śmierć Duricha w pewnym sensie nie okazała się daremna. Podsunęła von Ottowi myśl, by bardziej zadbać o własne bezpieczeństwo, likwidować wrogów, zanim dotrą do jego zamku.

Von Raster zaklął, gdy jego głowa otarła się o mur. Niektóre korytarze, szczególnie te prowadzące do podziemi, gdzie rządził w swoim laboratorium Cromalin, przebudowano dla von Otta, który był przecież niski, sięgał gościowi ledwie do piersi.

– Uważaj na stopnie – szepnął z zaniepokojeniem baron. Na nic by mu się nie przydał teraz kandydat ze złamaną nogą czy rozbitą czaszką.

– Prędej, chcę to mieć za sobą! – syknął niespodziewanie von Raster.

Baron uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze kilka skrętów kizskowatymi tunelami, trzy rozstaje, i znów stanęli przed dębowymi drzwiami, za którymi rządził Cromalin.

– To będzie niezapomniane... przeżycie – zapewnił baron, stukając w umówiony sposób. Miał w kieszeni klucz, ale nie chciał tego pokazać. Gestem za to nakazał wilkom pilnować gościa.

Zgrzytnął zamek i drzwi odsunęły się bezszelestnie. Za nimi oczekiwał Cromalin i... na wszelki wypadek dwaj ludzie-wilki, przeistoczeni w zwierzęta. Baron spodziewał się zacieklej obrony von Rastra.

Cały orszak przekroczył bramę, którą natychmiast ponownie zamknęli za sobą. Von Ott uważnie obserwował swego gościa, który zdawał się być coraz bardziej niespokojny. Czyżby coś podejrzewał?

– Proszę dalej – Cromalin wskazał ręką jeden z tuneli i ruszył pierwszy. Za plecami miał kilku strażników, potem szedł von Raster, obok niego baron, pochód zamykali pozostali ludzie-wilki, którzy zaczęli się po cichu zmieniać. Potrzebowali jeszcze kilku chwil, by dopełnić dzieła, ale ciemność korytarzy pozwoli im uczynić to niezauważenie, a wtedy...

Wtedy wszyscy rzucają się na von Rastra, obezwładnią go i...

Pochodnie zatrzymały się przy kolejnym rozwidleniu korytarzy, Cromalin stanął, a gość z baronem przybliżyli do niego, tworząc stłoczoną grupę.

I wtedy nagle – zaskakująco nagle, ale nie zaskakująco w ogóle – von Raster rzucił się na Cromalina. Śmignął jak wąż na plecy mistrza przemian, odepchnąwszy jednego z ludzi-wilków, i już leżał na powalonym Cromalinie, dusząc go i szarpiąc rękoma, które miały straszną siłę!

Baron krzyknął przerażająco i cofnął się o krok, podczas gdy wilki rzuciły się na von Rastra, pokryły go na moment kłębowiskiem łap i pysków sięgających szyi.

Ale jak szybko skoczyły go niemu, tak odskoczyły z piskiem, jakby odepchnęła je jakaś bariera, albo von Raster strząsnął je z siebie jednym drgnięciem palca! Tymczasem Cromalin przestał się ruszać, leżał nieruchomo, wciąż brocząc krwią, która zbierała się w jednym z zagłębień posadzki, wyżłobionych w czasie nieskończonych wędrówek mistrza przemian.

Von Raster podniósł się powoli z ziemi. Na oczach barona otrząsnął się lekko.

– Ja będę twoim mistrzem, baronie – rzekł głosem, w którym dźwięczał triumf. Nie wydawał się ani odrobinę zmęczony ledwie co zakończoną walką z Cromalinem.

Baron rozejrzył się. Wilki wciąż stały.

– Dalej, zagryźć go!

Posłusznie skoczyły ku von Rastrowi, ale ten, podobnie jak poprzednio, odpędził je kilkoma gestami.

Wtedy von Ott uznał, że nie ma co dłużej czekać. Wilki go zawiodły, zupełnie jakby młode wilczęta trafiły na starego basiora, z którym żadne nie podejmie prawdziwej walki. Co on w sobie miał, ten przeklęty, znieawidzony przybysz? Jednak baron poza wilkami miał przecież jeszcze swego anioła-stróża. Takiego, na jakiego chciał przerobić von Rastra...

– Zabij go – szepnął.

Cień na ścianie poruszył się, a może to tylko pochodnia? W każdym razie zaniepokojony von Raster uniósł szybko rękę.

– Baronie, nie! Powstrzymaj go!

Zdarł z siebie ubranie. Stał teraz nagi. A baron patrzył badawczo na cień, który wahał się, jakby kierowany podmuchami wiatru. Widać było ledwie zauważalny, rozmyty kontur człowieka-cienia. Stał niepewnie, nie wiedząc, co począć, jakby coś go od von Rastra odpychało.

– Ja go widzę, baronie – rzekł von Raster. – Ja wiem, że ten cień to człowiek, najpiękniejsze dzieło mistrza Cromalina, twój anioł stróż. – Tu z szacunkiem skłonił

głowę. – Uwierz mi, że potrafię go unieszkodliwić jak twego szpiega, tego szczura. Jak wilki, gdyby naprawdę się nie opamiętały i ruszyły do ataku.

– Ależ... – szepnął zaskoczony baron. – Skąd możesz o tym wiedzieć?!

– Są osoby, które się interesują twoją działalnością, baronie – spokojnie wyjął von Raster. – Ja na przykład. Mam w ciele kapsułki z krwią nietoperza i wieloma innymi specyfikami. Baronie, zdziwisz się, ale mogę tu stać spokojnie i być niedotykalnym, bo dopiero gdy nauka połączy się z magią, człowiek zyskuje siłę, powstaje prawdziwa potęga. Ani przez chwilę nie byłem zagrożony przez twoje stwory.

– Po co to robisz? – szepnął baron, patrząc na martwego Cromalina.

Von Raster podążył za jego spojrzeniem.

– Chcę zająć jego miejsce, baronie. A póki on żył, nie było takiej możliwości. Chcę twe wizje wnieść na wyższy poziom. Człowiek-wilk czy człowiek-koń są takie banalne... – Skrzywił się. – Przerabiałeś pojedynczych ludzi, a przecież można z tym wyjść daleko, daleko poza zamek i jego poblizę... nadać indywidualny charakter wioskom, a może nawet miastom, jeśli starczy czasu i charakteru...

A po chwili dodał:

– Można powoli zmienić Hardwald, a nawet całe Góry Czarne, o ile starczy nam czasu.

Baron opuścił ręce. Nie ufał temu człowiekowi. Sam go tu wpuścił, a on zabił jedyne przyjaciela von Otta.

– Baronie, obaj stworzymy silniejszy zespół – kusił von Raster. – Ja nie tylko umiem się obronić przed pana człowiekiem-cieniem. Ja umiem także sprawić, by inni nie umieli tego dokonać... – Zmrużył oczy. – Wystarczy mały drobiazg, a nikt nie będzie bezpieczny, nawet moje dotychczasowe zabezpieczenia nie wystarczą.

Uśmiechnął się. Triumfował.

– A jeśli zamienimy ludzi w śmigłe ptaki, strach z naszego zamku będzie zataczał coraz szersze kręgi, sięgnie dalej niż do Plauen, dotrze do cesarskiego dworu... – rozmarzył się.

Baron ponuro skinął głową, patrząc na skurczone pod ścianą ciało Cromalina. „Strach – pomyślał – a gdzie piękno, jakie wychodziło spod ręki Cromalina?”

– Cóż, pozostało mi liczyć na pana... – westchnął z rezygnacją. Nie wierzył już w żadne słowa von Rastra, ale nie miał wyjścia. Nie był nawet pewien, czy jeśli odmówi, wyjdzie stąd na światło dnia. Obejrzał się nerwowo na swoje wilki – czy wciąż miał je po swojej stronie? A czy cień, od wielu lat jego niewidzialna, a jednak najważniejsza i najskuteczniejsza ochrona, wciąż służył jemu, a nie przeszedł na usługi tego przekłętego von Rastra?

– Wracajmy.

* * *

Wychodzili. Baron szedł pierwszy, pospiesznie kroczył ku wyjściu, jakby te podziemia naraz zaczęły go dusić i przytłaczać.

Nie widział, że von Raster mruży oczy, przypatrując mu się uważnie, jakby coś obmyślał, jakiś niezwykły kształt, czy może ubiór dla barona...

„Będę twoim mistrzem” – powiedział wcześniej. Gdy tak mrużył oczy, jego słowa nagle nabrały nowego znaczenia. A może nie?

I tylko cień chybotął się ledwie widoczny, jakby chciał umknąć w ciemność i nie mieć już do czynienia z żadnym z nich. Ale że cień zawsze jest czymś niewolnikiem, mógł sobie pozwolić tylko na nikłe, niezauważalne podrygi.